

Teatr Współczesny z Warszawy na scenie w POSK-u

Poza Londynem chyba najsilniejsze związki George'a Bernarda Shawa były z Warszawą. Tu odbywały się regularnie kolejne premiery jego sztuk, tu nawet nieraz dochodziło do światowych prapremier, słusznej dumy dyrektora Teatru Polskiego Arnolda Szyfmana i stałego tłumacza sztuk Shawa na język polski, Floriania Sobieniowskiego. I oto teraz — jak zwykle na zaproszenie Urszuli Świąćkiewicz — G.B. Shaw, nieskazitelnie przebrany za Zbigniewa Zapasiewicza, porzucił swą Warszawę, by przyjechać do Londynu dla wzięcia udziału w sztuce H. Whitmore'a *Najlepsi z przyjaciół*, wystawionej w Teatrze Współczesnym w stolicy, a niedawno powtórzonej przez kilka wieców na scenie teatru POSK-u.

Sztuka opiera się na wymianie listów między trójką przyjaciół: samym G. B. Shawem, Laurencją McLachlan — młodą dziewczyną, która wcześniej wstąpiła do zakonu i została przełożoną surowego zgromadzenia karmelitanek w Stanhope oraz autorytetem na temat choraków gregoriańskich, i wreszcie — Sir Sydneyem Cockrellem, historykiem literatury, bibliofilem, dyrektorem słynnego

„Najlepsi z przyjaciół”

FitzWilliam muzeum w Cambridge.

To, że tego rodzaju inscenizacja miała powodzenie na scenie warszawskiej, świadczy nie tylko o walorach sztuki, ale także o stopniu zainteresowania warszawskiej publiczności głośnymi postaciami ze świata kultury angielskiej. Marta Lipińska gra świetnie zakonnicę z typową, jak gdyby „urzędową” słodyczą młodej zakonnicy; znany nam już Marek Bargielowski jest uczonym bibliofilem z Cambridge, a wspomniany już Zapasiewicz, wybitny aktor teatralny i filmowy (film *Wajdy Bez znieczulenia*), odtwarza postać Shawa. Koncert. Dyskretne trio na tle zeszłości listowych kartek.

O niezyczącym już od dawna historyku polskiej wojskowości, sędziwym, i to bardzo, gen. M. Kukielu, mawiano żartobliwie, iż spotkany niespodzianie na ulicy „wyglądał jak żywy”. Otóż Zapasiewicz również „wygląda jak żywy”, jak Bernard Shaw, ucharakteryzowany... na Zapasiewicza.

Zdzisław A. Broncell

Nie wiem, czemu postarano się, ażeby Zapasiewicz nie miał żadnego podobieństwa do odtwarzanej postaci. Nosi zgrabną laseczkę (może dla zaznaczenia wieku Shawa), podczas gdy Shaw nie używał laski i do końca, do czasu nieszczęsnego zrywania śliwek z chwicznej drabinki, był w doskonałej formie fizycznej — gimnastykował się codziennie. W tej interpretacji Shaw nie ma nawet brody. Zastanawiam się, jaka byłaby reakcja publiczności, gdyby w sztuce o np. marsz. Pilsudskim Marszałek występował bez wąsów, z czysto ogoloną twarzą. Albo gdyby w sztuce o Leninie (jest taka polska sztuka, pióra W. Grubińskiego, i można by ją zagrać) Lenin pojawił się bez swej spiczastej brodki, a za to z bujną czupryną. Ta sprawa charakterystyki jest bodaj jedynym zastrzeżeniem, jakie można wysunąć wobec inteligentnej reżyserii Englerta.

Możliwe jednak, że reżyser chciał odejść od realizmu, chciał zaznaczyć iż wszystko to jest sprawa wspomnień, martwej już przeszłości, i że nie postaci sceniczne mówią do nas, ale ich pozótkle listy. To mogłoby prowadzić do celowego odejścia od konkretnego, od teatralnego złudzenia.

Czytanie przed latami napisanych listów, a właściwie odgrywanie ich treści, przeplata się ze wskrzeszaniem na podstawie ich treści epizodami z przeszłości, ze wznawianiem dawnych spotkań i polemik. Ich pasja nieraz brzmi teraz albo dziwnie, albo naiwnie, albo — jeśli kto woli — wzruszająco, ponieważ dziś sporne kwestie nie miałyby już w sobie tej wagi, jaką posiadały przed wielu laty. Mówi się o G. B. Shaw, że spotkało go to nieszczęście, iż zwyciężyły niemal wszystkie sprawy, o które walczył. A ponieważ jego sztuki zawsze w jakiejś części były udramatyzowanymi polemikami, więc tym samym jakoby straciły żywość i aktualność. Są jednak ciągle grane; przede wszystkim w Anglii i... w Polsce. Shaw jest bowiem, ciągle najdowcipniejszym, poza Wilde'm, autorem teatralnym, gdy idzie o intelektualną błyskotliwość dowcipu.

Nie byłoby tej sztuki, gdyby Shaw nie kultywował wielu intensywnych przyjaźni intelektualnych, zwłaszcza zaś z zakonnicą McLachlan. I gdyby nie pisał obficie listów. Do swych sztuk pisywał przedmowy, następnie przedmowę uzupełniającą dodatkową przedmową, ażeby później wszystko skomentować raz jeszcze w listach do przyjaciół. Wolął do nich pisać, niż się spotykać — uważał że tego rodzaju rozmowa, poprzez listy, jest bardzo celowa i płodna, i wolna od zabarwień czy zacietrzewień polemiki osobistej. A zresztą, to przecież od G. B. Shawa Mieczysław Grydzewski wziął swoje słynne powiedzenie na temat techniki życia zapracowane-

go redaktora: *Tylko z kobietami trzeba się spotykać, z mężczyznanami można wszystko załatwić przez telefon, albo listownie.*

Oczywiście najciekawiej wypada zderzenie dwóch światopoglądów, w zasadzie krańcowo od siebie różnych: wiary zakonnicy i racjonalizmu Shawa. Zakonnica wierzy w Boga będącego nie tylko siłą twórczą wszechświata, ale również Osobą. Shaw natomiast wszelką usystematyzowaną religię, zorganizowaną, ujętą w gorset dogmatów, uważa za zjawisko już tylko historyczne, podlegające ciągłej ewolucji. Nie jest jednak Shaw pełnym materialistą: pod wpływem filozofii Bergsona, którego jest jakby kontynuatorem, jest przekonany o istnieniu i działaniu nieznannej nam bliższej siły twórczej, decydującej o nieustannej ewolucji człowieka i w sensie fizycznym, i w sensie umysłowym. Człowiek, jako ludzkość, poprzez błędy, i nawet zbrodnie, zdąża ku doskonałości. Zakonnica powiedziałaaby: „Zdąża do Boga”.

Gorzej, że Shaw owe dążenie do doskonałości dostrzegł również w stroju sowieckim i w działalności Stalina. Będąc socjalistą należał do słynnej intelektualnej grupy Fabianów, stracił ich humanitarne kryteria przy ocenie bolszewizmu.

Kiedy ogłosił, napisaną w wolteriańskim stylu, książeczkę o „czarnej dziewczynie poszukującej Boga”, zakonnicą domagała się, ażeby wycofał ją z obiegu, nawiązuje nie zdając sobie sprawy, że (przy stu tysiącach nakładu) jest to praktycznie niemożliwe, i że książka, druk, pobity bezpośredni wpływ ambony. Z drugiej strony musi przecież pamiętać, iż spod

pióra Shawa wyszła najpopularniejsza do dziś dnia sztuka religijna o św. Joannie. Inna rzecz, że francuska św. Joanna była dla Shawa przede wszystkim zapowiedzią protestantyzmu, to znaczy ustalenia się bezpośredniego stosunku człowieka do Boga, bez pośrednictwa Kościoła. „Głosy” mówiły wprost do św. Joanny — bez pośrednictwa ludzi Kościoła, i bez uwzględnienia ich świeckich interesów, związanych z politycznymi kombinacjami biskupa Cochoń. To dlatego przewodniczący trybunału biskup Cochoń uznał św. Joannę za herezycę. Ale w końcu to ta skromna, wiejska dziewczyna stała się świętą, a nie ortodoksyjny biskup Cochoń, o którym potomność może tylko powiedzieć „Nomen omen”...

Pobudzający, interesujący wieczór, dopisujący jedną więcej wartościową pozycję do bogatego już dziś repertuaru sztuk sprowadzonych przez p. Świąćkiewicz z Warszawy. Mogę tylko żałować, że w wyborze listów nie trafiły się uwagi o takiej komedii, w której G. B. Shaw idealizuje polską kobietę, jako kobietę nowoczesną, zdolną do niezależności, do własnych sądów politycznych i do nieograniczonej odwagi i bohaterstwa.

Na zakończenie marginesowa uwaga. Sprowadzanie przedstawień z Polski ma swoją wartość finansową, jest nawet jakby pewną formą pomocy dla teatru w Polsce, a przede wszystkim dla aktorów. Bo spójrzmy na poniższą statystykę: ogłoszono (GUS), że w r. 1990 liczba przedstawień w teatrach polskich w porównaniu z poprzednim rokiem zmalała o trzy i pół tysiąca, a o 6 tysięcy w porównaniu z r. 1989. Ilość widzów w 1990 r. spadła w porównaniu z poprzedzającym rokiem o jeden milion, a blisko 2 miliony w zestawieniu z rokiem 1988. Czyżby: im więcej wolności, tym gorzej dla teatru?